

Melissa de la Cruz, Zbłąkany anioł

Schuyler poczuła, że humor jej się poprawia, kiedy wpłynęli do zatoki przy miasteczku Vernazza. Widok zachwycałby każdego i nawet Jack trochę się rozjaśnił. Skalne półki były niesamowicie efektowne, a przycupnięte na nich domy sprawiały wrażenie równie starych, jak otaczające je głazy.

Zacumowali łódź i cała czwórka wspięła się na szczyt urwiska, kierując się w stronę szlaku.

Pięć miast tworzących Cinque Terre było połączonych kamienistymi ścieżkami – na niektóre z nich praktycznie nie dawało się wspiąć, jak wyjaśnił Iggy, kiedy szli wzdłuż szeregu maleńkich otynkowanych domków. Venator był w wyśmienitym humorze i opowiadał im historię każdego z mijanych domów.

– Ten tutaj moja ciotka Clara sprzedała w 1977 bardzo sympatycznej rodzinie z Parmy, a tu obok mieszkała najpiękniejsza dziewczyna we Włoszech (*odgłosy cmokania*), tylko... wiecie, czerwono krwista dama, takie potrafią być... wybredne... o, a tutaj...

Szli pomiędzy ogródkami i polami, a Iggy witał się z mijanymi mieszkańcami i klepał zwierzęta, kiedy przechodzili przez pastwiska. Szlak prowadził tam i z powrotem od trawiastych pastwisk do domów na samej krawędzi nadmorskiego urwiska.

Kiedy wspinali się naprzód, Schuyler widziała małe kamyczki, osypujące się ze zbocza.

Iggy podtrzymywał rozmowę, podczas gdy Drago przytakiwał tylko i uśmiechał się do siebie, jakby odbył tu już za dużo wycieczek i nie chciał psuć zabawy przyjacielowi. Rozwlekłe opowieści Iggy'ego zajęły większość poranka. Wspinaczka była męcząca, ale Schuyler cieszyła się, że ma okazję rozprostować nogi i była pewna, że Jack także to docenia. Za dużo czasu spędzili na łodzi, a chociaż mogli pływać w morzu, nie mogło się to równać z porządną wędrówką na świeżym powietrzu. Kilka godzin zajęło im dojście z Vernazy do Corniglii, a potem do Manaroli.

Schuyler zauważyła, że przez cały dzień nie widzieli ani jednego samochodu czy ciężarówki, żadnej linii telefonicznej ani trakcji elektrycznej.

To jest to – przekazał Jack. – Tutaj.

Schuyler wiedziała, że Jack oszacował, iż znaleźli się niemal w połowie drogi między dwoma miasteczkami. Nadszedł właściwy czas. Schuyler poklepała Iggy'ego w ramię i wskazała na urwiste wyniesienie nad klifem.

– Lunch? – zatrzepotała rękami.

Iggy uśmiechnął się.

– Jasne! Tak się rozgadałem, że zapomniałbym się zatrzymać i coś zjeść!

Punkt, do którego zaprowadziła ich Schuyler, był ciekawie położony. Szlak wybiegał na cypel, więc po obu stronach wąskiej ścieżki znajdowało się urwisko. Venatorzy rozłożyli jeden ze śnieżnobiałych obrusów hrabiny na trawie pomiędzy głazami i cała czwórka stłoczyła się na tej niewielkiej przestrzeni. Schuyler starała się nie gapić na dół, zajmując miejsce jak najbliżej krawędzi.

Jack usiadł naprzeciwko niej, spoglądając ponad jej głowę na wybrzeże poniżej. Obserwował plażę, podczas gdy Schuyler pomagała rozpakować koszyk. Wyjęła szynkę parmeńską, salami finocchiona, mortadelę i suszoną wołowinę. Wędliny w postaci długich walców lub pocięte w małe plasterki zapakowane były w papier pergaminowy. W koszu znajdował się też bochenek chleba z rozmarynem oraz brązowa papierowa torba, pełna ciasteczek z migdałami i placuszków z dżemem. Aż szkoda, że to wszystko miało się zmarnować. Drago wyjął kilka plastikowych pudełek zawierających włoskie sery, pecorino i świeżą burratę, zapakowane w zielone liście. Schuyler odkroiła i skosztowała kawałek

burraty. Maślano-mleczny smak mógł swoją doskonałością rywalizować z rozciągającym się wokół widokiem.

Na moment pochwyciła spojrzenie Jacka. *Szykuj się*, przekazał.

Nadal uśmiechała się i jadła, chociaż żołądek zaczął się jej zaciskać. Obejrzała się szybko, żeby zobaczyć, na co patrzył Jack. Przy plaży w dole zacumowała niewielka motorówka. Kto mógłby zgadnąć, że nastoletni północnoafrykański pirat z wybrzeży Somalii okaże się tak godnym zaufania pomocnikiem? – pomyślała Schuyler. Nawet z tej odległości widziała, że przyprowadził to, o co go prosili: jedną z najszybszych motorówek, jakimi dysponowali piraci, wysmukłą i z groteskowo wielkim silnikiem.

Iggy otworzył butelkę wina Prosecco i cała czwórka z uśmiechem wzniosła toast za skąpane w słońcu wybrzeże. Szerokim gestem wskazał rozłożoną między nimi ucztę.

– Zaczynamy?

Na ten moment czekali. Schuyler zaczęła działać. Odchyliła się do tyłu i udała, że traci równowagę, a potem pochyliła się do przodu i chlusnęła całą zawartością szklanki wina w twarz Drago. Sprawiał wrażenie ogłupiałego, gdy alkohol zapiekł go w oczy, ale zanim zdążył zareagować, Iggy klepnął go w plecy i zarechotał z całego serca, jakby Schuyler opowiedziała szczególnie śmieszny dowcip.

Jack zerwał się, korzystając z tego, że Drago był chwilowo oślepiony, a Iggy zamknął oczy ze śmiechu. Wyciągnął drewniany nóż z rękawa, obrócił go i wbił głęboko w pierś Drago.

Włoch rozciągnął się na ziemi, krwawiąc obficie z rany. Schuyler pomogła Jackowi zrobić tę broń z obluzowanej deski, którą wyjął ze schodów, szlifując ją na kamieniu wyłowionym przez nią podczas nurkowania. Deska była zrobiona z drzewa żelaznego i zmieniła się w niebezpieczny i śmiercionośny sztylet.

Schuyler rzuciła się do drugiego venatora, ale Iggy zerwał się na nogi, zanim zdążyła wstać. Tego nie brali pod uwagę. Tłuszcioch umiał się naprawdę szybko ruszać. W jednej chwili wyrwał ostrze z piersi przyjaciela, aby wykorzystać jako własną broń, i odwrócił się do Schuyler. Jego oczy były całkowicie poważne.

– Jack! – krzyknęła, kiedy venator zaatakował. Nie mogła się ruszyć, Iggy rzucił na nią zakłęcie unieruchamiające, kiedy sięgał po nóż, który teraz wznosił nad jej piersią. Za moment miał przeszyć jej serce – ale Jack zanurkował pomiędzy nich i przyjął na siebie pełny impet uderzenia.

Schuyler musiała wyrwać się spod działania zaklęcia. Szarpnęła się do przodu, wykorzystując każdy pozostały jej gram energii, walcząc z przytrzymującą ją niewidzialną pajęczyną. Miała uczucie, że porusza się w zwolnionym tempie przez gęstą ciecz, ale znalazła słaby punkt zaklęcia i przełamała je. Wrzasnęła i rzuciła się do Jacka, który leżał jak pozbawiony życia. Iggy był tam pierwszy i przewrócił go na plecy, ale cofnął się zdumiony. Cały i zdrowy chłopak uśmiechnął się ponuro.

Jack zerwał się na nogi.

– Nieładnie, venatorze. Jak mogłeś zapomnieć, że anioła nie można zranić ostrzem, które sam stworzył? – podwinął rękawy i stanął naprzeciwko przeciwnika. – Może ułatwisz sobie życie? – zapytał łagodniej. – Proponuję, żebyś wrócił i powtórzył hrabinie, że nie jesteśmy parą kolczyków, które może trzymać w szkatułce. Odejdź, a nie zrobimy ci krzywdy.

Przez moment wydawało się, że venator rozważy tę ofertę, ale Schuyler wiedziała, że jest zbyt starą duszą na tak tchórzliwe wyjście. Włoch wyjął z kieszeni paskudnie wyglądające zakrzywione ostrze i skoczył w stronę Jacka, nieoczekiwanie zatrzymując się w powietrzu. Przez sekundę wisiał nieruchomo, z dziwnym wyrazem twarzy, na której malowały się jednocześnie zmieszanie i porażka.

– Niezła robota z unieruchomieniem – powiedział Jack do Schuyler.

– Zawsze do usług – uśmiechnęła się. Zebrała zakłęcie, które przed chwilą ją sparaliżowało, i rzuciła je na venatora. Jack zajął się resztą, potężnym gestem strącając grubego strażnika z urwiska, żeby roztrzaskał się o skały na dole.

– Zajął się zbiornikiem? – zapytał, kiedy pospiesznie schodzili na dół, do czekającej na nich pirackiej łodzi.

– Jasne – skinęła głową. Dobrze zaplanowali swoją ucieczkę: Jack osadził kotwicę jachtu tak głęboko w dnie morskim, że wyrwanie jej nie będzie możliwe, a Schuyler opróżniła zbiornik paliwa. Poprzedniej nocy uszkodzili żagle i radio.

Przebiegli przez plażę do pirackiej łodzi, w której czekał ich nowy przyjaciel, Ghedi. Schuyler spotkała go podczas jednej z nadzorowanych wypraw na targ w St. Tropez, gdzie były członek samozwańczych „Somalijskich Marines” pomagał przy rozładunku świeżych ryb w dokach. Ghedi tęsknił za dawnymi dniami pełnymi przygód i natychmiast skorzystał z okazji, by pomóc dwójce uwięzionych Amerykanów.

– Zgodnie z zamówieniem, szefowo – uśmiechnął się Ghedi, odsłaniając rząd olśniewająco białych zębów. Poruszał się zwinnie i szybko, miał pogodną, przystojną twarz i skórę barwy palonego kakao. Wskoczył z motorówki – miał zamiar wrócić później na targ promem.

– Dzięki, stary – Jack ujął ster. – Zajrzyj jutro na swoje konto.

Somalijczyk uśmiechnął się jeszcze szerzej, a Schuyler pomyślała, że frajda z kradzieży łodzi była dla niego niemal wystarczającą zapłatą.

Potężny silnik ożył z rykiem, przyspieszyli, oddalając się od wybrzeża. Schuyler spojrzała na dwóch venatorów, unoszących się nieruchomo w wodzie. Pocieszyła się pewnością, że obaj to przeżyją: byli starożytnymi istotami i żaden upadek z urwiska nie mógł ich naprawdę uszkodzić. Jedyny cios otrzyma tylko ich duma. Ale potrzebują czasu, żeby dojść do siebie, a przez ten czas ona i Jack będą już daleko.

Odetchnęła. Nareszcie. Teraz do Florencji, żeby zacząć poszukiwania odźwiernego i zabezpieczyć bramę, zanim znajdą ją srebrnokrwieści. Mogli znowu wziąć się do roboty.

– Wszystko dobrze? – Jack prowadził motorówkę przez wzburzone fale z profesjonalną łatwością. Wziął ją za ręką i mocno uściskał.

Przytuliła jego dłoń do policzka, rozkoszując się dotykiem zgrubiałych odcisków na jej skórze. Udało im się. Byli razem.

Bezpieczni. Wolni. I nagle zamarła.

– Jack, za nami.

– Wiem. Słyszę silniki – powiedział, nawet się nie oglądając.

Schuyler wpatrywała się w horyzont, zza którego wyłoniły się trzy ciemne kształty. Kolejni venatorzy, na ślizgaczach z czarno srebrnym herbem na szybach. Kształty rosły coraz bardziej i bardziej w miarę, jak się do nich zbliżali. Najwyraźniej Iggy i Drago nie byli ich jedynymi strażnikami.

Ucieczka miała się okazać trudniejsza niż przypuszczali.

Pierwsze krople spadły na policzek Schuyler jak delikatne pocałunki. Miała nadzieję, że to będzie tylko przelotny deszcz, ale rzut oka na ciemniejące coraz bardziej niebo powiedział jej, że tak się nie stanie. Spokojny, błękitny dotąd horyzont nabierał szybko odcieni szarości, czerwieni i czerni, skłębione chmury zbijały się w ciężką, jednolitą masę.

Deszcz, początkowo lekki, uderzył nagle w pokład w narastającym staccato. Rozległ się grzmot, a niski, dudniący dźwięk sprawił, że Schuyler podskoczyła.

Oczywiście musiało się rozpaść. Żeby wszystko bardziej skomplikować. Schuyler sięgnęła za plecy Jacka po niewielki łuk. Poprosili Ghediego, żeby go przygotował dla nich i ukrył w schowku przemytników, znajdującym się w zęzie.

Przez miesiąc spędzony na morzu przygotowywali ucieczkę. Jack godzinami uczył Schuyler tajników sztuki venatorów (takich jak podstępny czy rodzaje amunicji), a za zgodą Iggy'ego i Drago pokazał jej także podstawy łucznictwa. Dzięki pewnej ręce i dobremu wzrokowi okazała się w tym nawet lepsza od niego. Teraz wyjęła z plecaka kilka strzał z drzewa żelaznego, wykonanych ręcznie w trakcie ich uwięzienia. Wybrała jedną i zajęła pozycję strzelecką.

Ich prześladowcy nadal byli daleko z tyłu. Widziała ich wyraźnie pomimo wiatru i mgły. Ugięła kolana i zastygła jak nieruchomy posąg na wzburzonej wodzie, podnosząc łuk i napinając cięciwę do granic możliwości. Kiedy była pewna, że dobrze wycelowała, wypuściła strzałę. Ale ślizgacz uniknął jej bez trudu.

Niezniechęcona sięgnęła po kolejną strzałę. Tym razem trafiła dokładnie w kolano venatora, którego ślizgacz zadygotał przez chwilę na powierzchni wody. Poczowała przyływ triumfu, ale venator wyprostował się momentalnie, nie zwracając uwagi na odniesioną ranę.

W tym czasie Jack wpatrywał się prosto przed siebie, pewną ręką regulując szybkość. Wyciskał wszystko, co się dało, z przegrzanego silnika, który pracował na zbyt wysokich obrotach – wyrzucając fontanny iskier i wydając okropny, syczący dźwięk.

Schuyler znów się obejrzała. Ich piracka łódź robiła, co w jej mocy, ale niedługo i tak zostanie doścignięta. Venatorzy byli coraz bliżej, najwyżej w odległości kilkunastu metrów. Deszcz wzrósł, Schuyler i Jack byli przemoczeni do suchej nitki, a wiatr chłostał fale, sprawiając, że łódź wznosiła się i opadała z niebezpieczną gwałtownością, jak kolejka górską. Przesunęła stopy, mając nadzieję znaleźć lepsze oparcie wśród fal wody wdzierających się na pokład. Zostały jej tylko dwie strzały i nie mogła ich zmarnować. Napięła łuk. Nagle dostrzegła ognisty, płonący pocisk, wycelowany prosto w nią.

– Schuyler! – krzyknął Jack, ściągając ją w dół, podczas gdy coś eksplodowało w powietrzu w miejscu, gdzie przed chwilą stała. Boże, venatorzy byli niesamowicie szybcy – nie zauważyła nawet, żeby któryś z nich do niej celował.

Jack jedną ręką trzymał ster, a drugą obejmował ją opiekuńczo.

– Ogień piekielny – mruknął, kiedy łódkę wstrząsnęła kolejna eksplozja, tuż za sterburtą. Pociski miały postać najbardziej śmiertelnej broni w arsenale venatorów: czarnego ognia piekielnego, jedynej rzeczy na świecie zdolnej do zniszczenia nieśmiertelnej krwi, płynącej w ich żyłach.

– Ale dlaczego chcą nas zabić? – Schuyler, przekrzykiwała ryk fal, przyciskając do siebie łuk. Hrabina nie mogła przecież życzyć im aż tak źle. Czyżby nienawidziła ich do tego stopnia?

– Jesteśmy teraz przypadkowymi ofiarami – odparł Jack. – Trzymała nas przy życiu dopóki to było dla niej wygodne. Ale teraz, skoro uciekliśmy, jej duma została zraniona. Zabije nas, żeby postawić na swoim. Żeby dowieść, że nikt nie może sprzeciwić się hrabinie.

Łódź podskakiwała na wznoszących się falach, opadając z gwałtownym wstrząsem i trzaskiem metalowych łączeń i gwoździ, trących o drewno i wodę. Trafiony silnik umilkł. Wydawało się, że tylko siła ich woli utrzymuje motorówkę w całości. Kolejny wybuch, tym razem bliższy, zachwiał łódkę. Następny ich zatopi. Schuyler wyskoczyła z ukrycia i z nadludzką szybkością wypuściła dwie ostatnie strzały. Zbiornik paliwa najbliższego ślizgacza, który eksplodował.

Nie mieli czasu się z tego cieszyć, ponieważ następny pocisk przeleciał nad dziobem, a Jack ostro obrócił ster w prawo, wpadając wprost na trzymetrową falę, która przykryła ich w całości. Piracka łódź wyłoniła się po drugiej stronie, jakimś cudem nietknięta.

Schuyler obejrzała się. Dwaj venatorzy, którzy byli tak blisko, że widziała zarysy ich gogli i srebrne szwy na skórzanych rękawicach. Ich twarze nie wyrażały niczego. Nie obchodziło ich, czy ona i Jack przeżyją, czy też zginą, czy są niewinni, czy winni. Wykonywali tylko rozkazy, a rozkazy mówiły, że mają strzelać, aby zabić.

Załamująca się fala niebezpiecznie wytrąciła ich z równowagi, łódź pochyliła się do przodu niemal do pionu, a potem z całej siły opadła na wodę. W każdej chwili mogli się wywrócić. Nie mieli już strzał. Nie mieli już żadnych możliwości.

Musimy porzucić łódkę. Będziemy szybciej, jeśli popłyniemy – przekazała Schuyler. Wiedziała, że Jack myślał o tym samym, tylko trudno mu było to powiedzieć. Ponieważ jeśli popłyną, będą musieli się rozdzielić. – *Nie martw się. Jestem silna. Tak samo, jak ty.* – Wymieniła z ukochanym kwaśne uśmiechy.

Jack przytrzymał koło sterowe, zaciskając szczęki. – *Jesteś pewna?*

Spotkamy się w Genui – przekazała, mając na myśli nadmorskie miasto położone najbliżej miejsca, w którym się znajdowali. Pięćdziesiąt kilometrów na północ.

Skinął głową, a w myślach Schuyler pokazał się obraz przesłany przez niego, na dowód, że wie, o czym ona mówi. Zatłoczone miasto portowe otoczone górami, kolorowe łódki kołyszające się na przystani. Stamtąd mogli przejść górkimi ścieżkami do Florencji.

Odplyń tak daleko, jak zdołasz. Ja skieruję łódź na pozostałe ślizgacze – Jack przez moment odwzajemnił jej spojrzenie.

Schuyler skinęła głową.

Odliczam.

Mogę to zrobić, pomyślała Schuyler. Wiem, że zobaczę znowu Jacka. Wierzę w to.

Nie było czasu na ostatni pocałunek czy jakiegokolwiek ostatnie słowa. Bardziej wyczuwała niż słyszała odliczanie Jacka – jej ciało zaczęło działać, zanim umysł zdążył zarejestrować komendę.

Na „trzy” skoczyła już z burty, nurkując głęboko w ciemną wodę, odpychając się nogami od fali i planując kolejny oddech. Jako wampir mogła płynąć pod wodą znacznie dłużej niż ludzie, ale musiała uważać, żeby nie marnować sił.

Nad powierzchnią usłyszała koszmarny trzask pirackiej łodzi zderzającej się z ich prześladowcami. Ciemność morza wydawała się nieprzenikniona, ale po chwili oczy Schuyler przywykły do niej. Odepchnęła się rękami, płynąc, płynąc, napinając mięśnie bolące od walki z oporem wody. Widziała unoszące się ku powierzchni bąbelki. Mogła wytrzymać pięć minut bez powietrza i zamierzała wykorzystać ten czas. W końcu jej płuca zaczęły domagać się tlenu, więc skierowała się ku górze – pragnęła teraz tylko odetchnąć – była tak blisko – tak blisko – tak – jeszcze jeden ruch nogami i wynurzy się – tak...

Zimna, koścista dłoń chwyciła jej nogę, ciągnąc ją w dół, wlekąc z powrotem pod wodę.